

Zbieraczki kości i śmieciarze

Przygoda ze zbieraczką kości

Jestem tu winna małe wyjaśnienie tego dziwnego tytułu, jaki nadałam swoim refleksjom. Na razie postaram się co nieco opowiedzieć o zbieraczkach kości. Oczywiście jest to postać baśniowa (a raczej mityczna). Przywołuje ją *Clarissa Pinkola Estès* (jungistka i terapeutka posługująca się w swojej praktyce opowieściami zaczerpniętymi z różnych kultur) w swojej książce *Women Who Run With the Wolves. Myths and Stories of the Wild Woman Archetype*¹. („Kobiety biegające z wilkami. Archetyp Dzikiej kobiety w mitach i opowieściach” – tłum. własne). Ta, która zbiera kości, bywa nazywana różnymi przydomkami. W języku Indian Meksyku jednym z nich jest La Loba, Kobieta-Wilk. Czeka w swojej jaskini na tych, którzy zagubili swoją drogę, zbiera kości różnych zwierząt: jeleni, grzechotników, jaszczurek, ale prawdziwą zdobyczą są dla niej kości wilków. Kiedy zbierze już z nich cały wilczy szkielet, rozpala ognisko i rozmyśla o tym, jaką pieśń zaśpiewa. Kiedy jest już pewna, wstaje, wznosi ramiona w górę i zaczyna śpiewać. W tym czasie szkielet wilka zaczyna znów obrastać mięsem i futrem. Im dłużej La Loba śpiewa, tym wyraźniej wilk powraca do życia. Jej głos jest tak mocny i głęboki, że trzęsie się ziemia. Wilk otwiera oczy, wstaje i zbiega w dół kanionu. Gdzieś po drodze, wciąż biegnąc, zwierzę zamienia się w roześmianą kobietę, która biegnie wolna i nieujarzmiona w kierunku horyzontu.

Ta przepiękna opowieść (i wiele innych) staje się kanwą opowieści innego rodzaju: o tym, co tracimy, kiedy tłumimy w sobie Dziką Kobieta, jakie mechanizmy nas do tego zmuszają, jak je w porę rozpoznać i jak ich uniknąć, jak odbudować w sobie tę naturalną więź z archetypalną Dziką Kobieta. Kolejne historie (między innymi o żonie Sinobrodego, o mądrej Wasylisie) przynoszą kolejne aspekty pełnej i dojrzałej kobiecej psychiki. Zbieraczka kości to ta, która stoi na granicy między śmiercią i nowym życiem; ta, która zna złudność tej granicy; ta, która posiadała wiedzę o życiu biorącym swój początek w śmierci; ta, która chroni samo źródło kobiecej tradycji. Wie, jaki śpiew ożywia, zna siłę twórczości.

Tok narracji sprawia, że podążamy za autorką, jakby była to wielka podróż, wciągająca nas coraz mocniej z każdym krokiem. Clarissa Pinkola Estès jest przewodniczką, raczej zachęca do towarzyszenia jej w kolejnych etapach niż podaje do uwierzenia kolejne fakty „odkryte” przez psychologów i socjologów. Nie stara się przekonać nas ani o posiadanym patencie na nieomyślność, ani też nie daje żadnych złotych (psychologicznych) rad. Po prostu z wdziękiem opowiada nam kolejne historie (jakie pewnie znamy z dzieciństwa) i z wdziękiem dzieli się osobistym ich doświadczeniem.

Bo też przemawia z tej książki doświadczenie cantadory, tej, która leczy baśniami. Mówiąc we wstępie o swojej pracy terapeutki autorka zwraca uwagę właśnie na opowieść, którą przekazuje się ustnie. Sama z takich przekazów czerpała podróżując przez wiele lat do różnych zakątków świata, czerpiąc wiedzę od swych indiańsko-wschodnioeuropejskich przodków. Jednym z najstarszych i najbardziej inspirujących sposobów opowiadania jest dla niej szamański stan transu, kiedy to opowieść mówi ustami – po polsku nazwalibyśmy go: wieszczka, bardziej sama się snuje niż jest przywoływana.

Zdanie otwierające tę książkę brzmi: „Dzika Natura i Dzika Kobieta są w równym stopniu zagrożone wyginięciem”². I dalej można przeczytać to, co zaczyna się przeczuwać, kiedy doświadcza się, jak odchodzą jedno po drugim gatunki zwierząt, dzikie miejsca, tradycje bliskie Ziemi: że symptomami zniszczonego związku z dziką częścią własnej kobiecej psyche są m.in. słabość, depresja, poczucie wiecznego zmęczenia, pomieszania, zakneblowania, wrażenie tkwienia w kagańcu, uczucie własnej

bezsilności, chroniczne wątpienie we własne siły albo przeciwnie - nadmierne skupienie na ochronie własnej osoby, niemożność bycia osobą twórczą. To tylko niektóre z oznak, zniszczenie związku z własnym instynktem ma też swoje konsekwencje w najbardziej intymnych sferach kobiecego życia, które w takim wypadku nie są już źródłem siły, satysfakcji i pełni życia. Jak w takim razie przedstawia się obraz kobiety żyjącej w zgodzie ze swoją dziką naturą? *Zdrowa kobieta jest jak wilczyca: niezłomna, pełna siły życia, dająca życie, świadoma swego terytorium, twórcza, zawsze gotowa do podróży. Oddzielenie od tej dzikiej, instynktownej strony powoduje, że kobieca osobowość staje się wyblakła, nijaka, jest raczej egzystencją ducha bądź cienia*³. Gdyby jednak przyszło dokładnie opisać, czym/kim jest Dzika Kobieta - jej esencja zawsze wymknie się słowom: „zamieszkuje miejsca, gdzie rodzi się język, żyje w poezji, śpiewie, rytmie”⁴. Innymi słowy, w prawdziwy z nią kontakt wchodzi się m.in. poprzez twórcze działania i medytację.

Oddzielnym wątkiem jest swoista paleomitologia, czyli odkrywanie najgłębszego dna baśni czy mitu, trochę tak, jak robił to m.in. E. Fromm w swojej książce *Zapomniany język*⁵ czy sam C.G. Jung. W ten sposób spod warstwy symboli chrześcijańskich nałożonych np. przez braci Grimm wyziera pradawna opowieść, czarownice okazują się być kobietami obdarzonymi prawdziwą wiedzą: tą wyniesioną z doświadczenia. Inna sprawa, że wiedza ta jest niełatwa i nie każdemu dostępna. To myśl już nie nowa - że wraz z tym, jak „przeklęta” została dzika natura, tępiono równie zaciekle część kobiecego doświadczenia i wiedzy.

Ta bogata w symbolikę, opowieści i odkrycia kolejnych warstw otaczających nas światów⁶ książka utwierdza mnie w przekonaniu, że stawanie w obronie dzikich miejsc jest bezwzględnie koniecznością, ale nie ma się co łudzić, że „uratujemy Matkę Ziemię”. Ona ratuje się sama. To tylko nasza pycha. Tak naprawdę wszystko, co robimy, robimy dla siebie. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła być pełną istotą, kiedy zabraknie wilka, lasu deszczowego czy jodeł na Jaworzynie. To od Nich mogę się czegoś nauczyć. Jeśli odkryję w sobie Wilczycę, nie powstrzyma mnie nic.

Pół drogi, pół przygody

Nie da się ukryć, inny byłby pewnie mój odbiór książki Wojciecha Eichelbergera⁷, gdyby nie wcześniejsze spotkanie z opowieściami Clarissy Pinkola Estès. Zastrzegam sobie także pełen subiektywizm: moja opinia to być może tylko refleks nastroju chwili, pierwszego impulsu. Czytanie zawsze bywa przygodą rozciągniętą w czasie, co trudno jest oddać na kartce papieru.

Chwała autorowi za odwagę w ujęciu tematu i kilka cennych myśli (które jeszcze przytoczę). Niestety, pozostaje kilka wielkich „ale...”. Nawet mimo zastrzeżenia wydawcy, że „Kobieta bez winy i wstydu” jest zapisem kilku wykładów w Ośrodku Edukacji Ekologicznej EKO-OKO niektóre rozdziały wydają się być nadto powierzchowne. Zwłaszcza, że autor przyznaje się do chęci reinterpretacji mitu. Stwierdzenie, że wąż symbolizuje energię kundalini nie jest zapewne specjalnie odkrywcze dla kogokolwiek, kto zetknął się z tradycją myśli Wschodu, zastrzeżenie autora, że wyważa otwarte drzwi odnosi się nie tylko do interpretacji mitu o Adamie i Ewie. W rozdziale „Kusicielka. Co się zdarzyło pod rajskim drzewem?” tak chętnie stawiane pytania pozostają zawieszony w powietrzu. I ten brak podjęcia sygnalizowanych wątków wygląda raczej na zaniechanie niż pozostawienie wolnej woli czytelnicze/czytelnikowi. Nawet jeśli miał to być tylko ciąg luźnych myśli, słusznie poprzedzony zastrzeżeniem *Nie wiem, co zdarzyło się pod rajskim drzewem*⁸ (tylko szalenieć upierałby się, że wie), to w zasadzie brak w tym rozdziale zasadniczej myśli (poza oczywiście chęcią reinterpretacji mitu - czemu jednak owa reinterpretacja miałaby służyć, nie wiadomo). Na reinterpretację - zbyt powierzchowne⁹, na ciąg skojarzeń - za luźne, jeśli ujawnione publicznie. Autor miewa także irytującą manierę poddawania psychoanalizie Boga („Co się właściwie wydarzyło? Czy Bóg miał w tym jakiś zamiar, czy może uznał swoje dzieło za niepełne i postanowił dodać do niego konieczne uzupełnienie?”¹⁰ - nigdy się tego nie dowiemy, tym bardziej, że Eichelberger także i to zagadnienie pozostawił bez

Tak naprawdę trochę się czepiam. Powyższa maniera jest jednak przejawem zjawiska głębszego i powszechniejszego. Zgoda, jest to forma wykładu. Czytając jednak tę książeczkę nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że czytam: „oto ja, autor, podaję wam kilka znakomitych rozwiązań i recept, podaję do uwierzenia i zapamiętania”. Kwintesencją tego podejścia jest fragment: „Najważniejszym powodem, dla którego zająłem się tym trudnym tematem, jest potrzeba spłacenia przynajmniej części mojego własnego, jak i w ogóle męskiego, karmicznego długu wobec kobiet i przyjscia im z pomocą”.¹¹ Jeśli książka ta pomoże (a pewnie pomoże) choćby jednej kobiecie spojrzeć na swoje życie pod innym kątem i coś w nim zmienić, to zasługa autora jest wielka. Po cóż jednak te zaklęcia z intencji? Dług karmiczny autora jest wszak jego osobistą sprawą i to z tych najbardziej intymnych. Czy przypadkiem nie jest tak, że tego rodzaju zobowiązań nie powinno się zatrzymywać w tajemnicy? Moja kobieca intuicja wyczuwa tu także coś z owego „pomożemy Matce Ziemi”, które jest tylko projekcją naszego umysłu, o czym autor (jeśli już zwierzył się ze swej karmy) powinien był wiedzieć. Przepraszam za mimowolną napastliwość. Tak naprawdę źródło kobiecej energii jest do uzyskania wyłącznie na drodze osobistej pracy każdej kobiety. Dopóki nie pomożemy sobie same, nikt nam nie pomoże. Droga naprawdę bywa celem.

Zabrakło mi w tej książce choćby cienia postawy: „ja, autor przedstawiam wam jedynie swój ogląd rzeczy”. Zamiast tego mam wykład, kolejny zlepek teorii skonstruowany zresztą z kilku książek (które czytałam, bądź przeczytać mogę sama). Najciekawsze fragmenty książki dotyczą doświadczeń wyniesionych prawdopodobnie z praktyki terapeutycznej (m.in. fragmenty dotyczące kobiecej seksualności i świadomości ciała). Choć zdanie: *W swojej pracy przekonuję się wciąż na nowo, że cierpienie w życiu większości kobiet bierze swój początek z bezkrytycznego przyjmowania i uznawania za prawdę mitów i stereotypów, którymi nasycona jest nasza kultura i religijność, nasze koncepcje pedagogiczne i obyczajowość*¹² jest tylko ogólnikiem. Bezkrytyczne przejmowanie stereotypów powoduje cierpienie w życiu większości ludzi, niekoniecznie u kobiet. Tak skonstruowane zdanie sugeruje, że jedynie kobiety przejmują te stereotypy, bo takie głupie itd. Domyślam się, że taka interpretacja nie jest przez autora zamierzona, ale trzeba czasem uważać, co się mówi/pisze i co spoza tekstu wyziera. Tak naprawdę różnica między książką Clarissy Pinkola Estès (przygoda z tekstem) a wykładami Wojciecha Eichelbergera (bunt wobec tekstu) jest sprawą wagi zasadniczej, którą Eichelberger ujął wprost: „Mężczyźni są kolekcjonerami, bardziej niż kobiety przywiązują się do owoców swojej pracy, własnego myślenia, pomysłów idei czy ideologii, których bronią zażarcie w nie kończących się wojnach. Inaczej niż kobiety, które łatwiej dostrzegają względność ideologii czy doktryny”. Ja dodałabym tu jeszcze: względność kolejnej teorii. Narrator męski (mam tu na myśli negatywny aspekt męskości) przemawia do mnie (na wzór tego od kamiennych tablic): „oto podaję ci do wiadomości”, narracja kobieca zachęca pozostawiając wolny wybór: „możesz – lub nie – wyruszyć ze mną w podróż”. Oczywiście płeć narratora jest moją czytelniczą projekcją.

Jest paradoksem tego Nadwiślańskiego Kraju, że taką książkę napisał mężczyzna. Wiele tu mądrych i cennych uwag. Należy do nich i ta o konieczności dopełnienia osobowości męskim bądź żeńskim aspektem (napisał to już co prawda Jung, ale wciąż nie jest to jeszcze oczywiste), czy passus o znaczeniu wspólnot kobiecych dla rozwoju osobowości. A jednak spora część doświadczenia Kobiety Bez Winy i Wstydu pozostaje poza obszarem dostępnym autorowi. I nie jest to absolutnie zarzut. Zarzutem jest natomiast (wbrew rozmaitym zastrzeżeniom) przyjmowanie pozycji wszechwiedzącego narratora (w kwestii kobiecej psychiki). Dopóki jednak takiej książki nie napisze kobieta, będzie to zarzut nie do końca uzasadniony. Intencje autora z pewnością szlachetne – i tu należą mu się wielkie podziękowania (choćby za to, że mogłam w sobie elementy tego buntu przeciw niektórym partiom tekstu odnaleźć, przyjrzeć się jego powodom i temu, co się za tym kryje oraz uporządkować jakoś własne doświadczenia), ale metoda chyba jednak niespecjalnie adekwatna do poruszanego tematu.

Śmieciarze, czyli jak sprzedać jedną stronę zaśnieżonej monety

Artykuł w jednej z czołowych gazet tzw. kobiecych („Twój Styl” nr 7(84)/97, „Obudź w sobie dzikuskę” Veronique Dubois) zaczyna się z pozoru interesująco: „W każdej z nas drzemie dzika kobieta, ale cywilizacja stłumiła najgłębszą naturę. Zmysłowość, intuicję, spontaniczność”. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że autorka sprowadziła sporych rozmiarów książkę, wielowarstwową, operującą mnóstwem znaczeń (symbolicznych, artystycznych, psychologicznych i fabularnych) do 20 rad w stylu: „13 – Krzycz i wyj. Stań pośrodku leśnej polany i ryknij, ile sił w płucach. To zmartwychwstanie dzikiej kobiety. Pozwoli ci to uwolnić się od tłumionego gniewu, z którego nie zdajesz sobie sprawy”. A po co to wszystko? „Żyjąc w zgodzie z sobą nadasz harmonię Twoim stosunkom z innymi ludźmi. Zostaniesz królową sztuki uwodzenia mężczyzn. Znajdziesz w sobie gesty, zapachy i słowa, które ich rzucą do Twoich stóp. Urzeczywistnisz swoje pasje, marzenia i zwykłe zachcianki. Będziesz odmieniona!”. Oto jak kultura śmiecia przyswaja archetyp: zamiast Dzikiej, Wolnej kobiety – burdelowa strategia: jak lepiej się sprzedać. Mentalność odbytnicza (w sensie fascynacji końcowymi produktami przemiany materii). Więc jestem wściekła, ale znakomicie sobie uświadamiam, dlaczego. Niczego nie tłumię. To niezdrowe, jak naucza autorka artykułu.

Właśnie: autorka, bo to, co stworzyła powołując się na książkę „Women Who Run with the Wolves” nie ma z tą ostatnią wiele wspólnego. To jednak ciekawy mechanizm: jak wszystko w popkulturze łatwo może stać się towarem. Gra jest warta świeczki, bo stwarza wrażenie zmiany sankcjonując jednocześnie jedne z najmocniejszych podwalin tej śmieciarskiej pseudokultury. Dokładnie ten sam mechanizm wchodzi w grę; kiedy przedstawia się „zielony imane”, wmawia, że zbieranie śmieci jest „cacy”, a zajmowanie się Jaworzyną Krynicką, Pilskiem czy Puszcą Białowieską – „be” i zbyt radykalne. Oto, jak nie być oszołomem lepiej być prostytutką. Lub kupcem¹³. W powyższym artykule niemal wszystko jest przekłamaniem, choć w zasadzie nie można zarzucić zupełnej nieprawdy.

Niemniej jednak przetłumaczenie tytułu „Women Who Run With the Wolves” jako „Kobiety, które ścigają się z wilkami” jest przekłamaniem największym. W książce nie ma niczego, absolutnie niczego, co uprawniałoby do użycia słowa „ścigają”. Nie, kobiety biegają z wilkami. Jak równe z równymi. Ale to już jest dla kultury śmiecia zupełnie nie do strawienia.

Na zakończenie wrócę jeszcze do La Loby, która śpiewa nad szkieletami wilków. Śpiewa tak mocno, z takim oddaniem, że wilki powracają do życia i biegną wolne, gdzieś po drodze zmieniając się w kobiety. Dla mnie jest to takie opowieść o tym, jak odnaleźć swój głos, jak nauczyć się nim posługiwać z mocą i przekonaniem. Reszta jest naturalnym (dzikim) biegiem rzeczy.

Anna Nacher

Przypisy:

1. Clarissa Pinkola Estès, Ph.D.: „Women Who Run With the Wolves. Myths and Stories of the Wild Women Archetype”, New York 1992; Ballantine Books.

2. j.w. s. 3.

3. j.w. s. 12.

4. j.w. s. 14.

5. Erich Fromm: „Zapomniany język”, Warszawa 1994.
6. (wszak wiele z naszych życiowych przekonań bywa uformowane baśniami, z jakimi stykamy się w dzieciństwie – któż z nas nie pamięta „złego” wilka z baśni o Czerwonym Kapturku?).
7. Wojciech Eichelberger, *Kobieta bez winy i wstydu*, Warszawa 1997.
8. j.w. s. 11.
9. Wystarczy porównać z reinterpretacją tego samego mitu dokonaną przez Ericha Fromma w świeżo wydanej książce „Miłość, płęć i matriarchat”, Warszawa 1997.
10. W. Eichelberger, op.cit., s. 14.
11. j.w., s. 12.
12. j.w., s. 12.
13. Tu świadomie nawiązuję do niektórych artykułów we wcześniejszych numerach DŻ.